

Prawda jest uwolnieniem - świadectwo nawróconego księdza

Autor: brat Paweł



Chciałbym napisać coś najzwyklejszego, najbardziej prostego, tak jak zwykle i proste jest życie z Jezusem na co dzień. Osobiście nie jestem zwolennikiem wygłaszania świadectw przy różnych nadarzających się okazjach i myślałem, że nigdy się to nie stanie w moim życiu. Starałem się zresztą tego unikać.

Dzisiaj jednak wydaje mi się, że Bóg chce chociaż ten jeden jedyny raz posłużyć się moim przykładem. Dlatego zdecydowałem się napisać to świadectwo.

Celem mojego pisania nie jest wytworzenie atmosfery sensacji ani krytycyzmu, ani też innych negatywnych rzeczy rodzących niewłaściwe emocje. Piszę to jako człowiek, który dzięki Jezusowi wolny jest od negatywizmu. Jednocześnie Bóg pokazuje mi wiele rzeczy ze zdwojoną siłą, a dzieje się to nie w atmosferze buntu i sprzeciwu, lecz rozsądnego widzenia sprawy, oceny a może też wyraźnej przestrogi. Jeżeli ktokolwiek to przeczyta, niech wie, że stoi za tymi słowami człowiek szczęśliwy, zadowolony, pełen nowej nadziei, który nigdy nie oddałby tego co ma nawet za najcenniejsze rzeczy ze starego życia.

Okres młodzieńczy

Sięgając pamięcią wstecz usiłuję zarejestrować chwilę, w której moje życie z Bogiem zaczęło zyskiwać znamiona świadomego poszukiwania. Wydaje mi się, że byłem całkiem typowym młodzieńcem. Wychowywałem się na wsi, gdzie życie młodzieży koncentrowało się wokół kilku placówek kulturalnych: klubu, knajpy z dyskotekami i kościoła. Niech to nikogo nie dziwi, ale ci sami chłopcy, którzy byli stałymi bywalcami knajpy, dyskotek i klubu doskonale realizowali się także w kościele. Ja także należałem do tego grona. Dodałbym tutaj jedną rzecz na swoją korzyść. Bardziej interesowało mnie realizowanie się w kościele. Sądzę, że był to czas kiedy Bóg, którego nie znałem, ale czasami bardzo gorąco wołałem do Niego, rozpoczął swoje dzieło w moim życiu.

Uczęszczałem wtedy do liceum ogólnokształcącego. Musiałem dojeżdżać autobusem. Przez cały okres nauki w szkole byłem ministrantem. Było to czasem duże obciążenie, ale zawsze przeżywałem wielką radość, kiedy mogłem pójść do kościoła. Miło wspominać ten okres. Często stanowiło to dla mnie coś w rodzaju azylu duchowego. Jedno chciałem tu uwypuklić. Jest coś takiego w sercu młodego chłopaka, coś bardzo szczerego, intymnego, czym chciałby się nieraz podzielić. Jest to jakieś pragnienie intymnej relacji z ojcem. Niestety zazwyczaj ten okres dojrzewania męskiego pozbawiony jest możliwości prawidłowej realizacji. Powodem bywa zachwiana więź emocjonalna pomiędzy ojcami i synami. Wiem, że coś takiego przeżywałem. Wiem także, że wtedy właśnie odkrywałem swojego nowego Ojca. Wiele razy przychodziłem do Niego i ze wzruszeniem opowiadałem Mu o swoim życiu, o swoich problemach. Tylko On wiedział, co tak naprawdę kryje się w moim sercu.

Tak na marginesie: teraz kiedy sam jestem ojcem, chciałbym was ojcowie do czegoś zachęcić. Naprawdę nie najważniejszy jest biznes, hobby, gazeta, pieniądze. Najważniejsze jest serce dziecka, w którym kształtuje się obraz więzi z ojcem. To odnosi się tak do nawróconych, jak i nie nawróconych ojców.

Pewnego dnia nadeszła chwila życiowej decyzji. Perspektywa zdania matury wywoływała we mnie burzę myśli. Jako chłopak z małego środowiska miałem problem z podjęciem ostatecznej decyzji co do mojego dalszego życia. Chciałbym tu wspomnieć pewnego człowieka, którego bardzo ceniłem i który wtedy przyszedł mi z pomocą. Był to ksiądz, proboszcz mojej parafii. Odkryłem w nim przyjaciela, chętnie z nim przebywałem i rozmawiałem. On też wpłynął na moją decyzję. Pewnego dnia zapytał mnie: - Co chcesz dalej robić? Nie wiem nawet dlaczego odpowiedziałem: - Chciałbym być księdzem.

Moja decyzja wywołała burzę w domu. Matka wylewała łzy, że traci jedynego syna. Ojciec, jak zwykle milczący, nic nie mówił, ale wyczuwało się w jego postawie dezaprobatę. Właściwie wszyscy byli przeciwko. Ja zaś realizowałem konsekwentnie swój plan. Dochodziło do tego, że w tajemnicy przed mamą pisałem podanie o przyjęcie do seminarium duchownego. Stres, w jakim działałem sprawił, że napisałem z kilkoma karygodnymi błędami, za które musiałem się wstydzić podczas rozmowy u rektora odbywającej się w obecności mojego proboszcza.

Cała ta sytuacja, gdy dzisiaj ją analizuję, pokazuje pewien tragizm. Polega on na tym, że młody chłopak żyjący w systemie katolickim, jeżeli chce być bliżej Boga, musi trafić albo do klasztoru albo do seminarium duchownego. Może wydać się to komuś dziwne, ale taki mechanizm funkcjonuje. Bardzo wyraźnie można to zauważyć w małych środowiskach wiejskich. Dzisiaj widzę, że jest to niewola. Tym sposobem trafiło do seminarium duchownego wielu chłopaków, którzy po jakimś czasie przeżyli rozczarowanie. Korzenie owego mechanizmu leżą w mentalności, skrzętnie zresztą wpajanej przez duchownych, że tak naprawdę można Bogu służyć tylko należąc do stanu duchownego.

Seminarium - pobożni, intelektualisci, posłuszni i...

Towarzyszył mi dreszczyk emocji, kiedy po raz pierwszy, w otoczeniu rodziny przekraczałem progi seminarium. Auto wypakowane różnymi potrzebnymi przedmiotami wjechało na mały dziedziniec. Był to plac otoczony dosyć wysokimi domami, a tam gdzie była wolna przestrzeń stał wysoki mur. Później się dowiedziałem, że chodziło o to, aby nikt niepożądany nie miał wglądu za mury tej instytucji. Po latach stwierdziłem, że mury mają jeszcze inną rolę do spełnienia - ograniczają horyzonty tych, którzy za nimi pozostają. Ktoś zamknięty za murami jest bardziej podatny na kształtowanie. Poprzez oddzielenie od świata, w imię szczytnych biblijnych celów (powołuje się na fakt, że Jezus był na pustyni) osiąga się czasami wysoki poziom kontroli nad podopiecznym. Jest to swoisty system koszarowy. Pamiętam jak podczas wieczornego milczenia (był to czas po wieczornej modlitwie kiedy zakazane były wszelkie rozmowy), przechadzaliśmy się pod owymi murami. Niektórzy, gdzieś tam w kącie cicho rozmawiali paląc potajemnie papierosy, inni zaś chodzili wkoło po wydeptanej ścieżce. Wtedy to nieraz myślałem o żywym Bogu, wylewałem przed nim swoje tęsknoty i zastanawiałem się, czy Ojciec w niebie rzeczywiście chce tego ode mnie. Podczas tych spacerów często nachodziły mnie wątpliwości, czy dobrze zrobiłem przychodząc tutaj.

Zorientowałem się już po kilku miesiącach, że seminarium to nie to czego pragnąłem. Nie tak wyobrażałem sobie to miejsce. Oczekiwałem duchowej oazy, natrafiłem na koszary. Może byłem i jestem zbyt wielkim optymistą albo nawet romantykiem, ale wiem, że doświadczyłem wtedy wielkiego rozczarowania. Gdyby nie to, że starsi koledzy dodawali nam młodszym otuchy, to może bym szybko stamtąd uciekł. Istnieje jeszcze coś takiego jak społeczna presja wywierana przez środowisko, z którego się wyszło. Dotyczy to zwłaszcza małych środowisk wiejskich. Może wydawać się to nieprawdopodobne, ale presja ta wywołuje pewien rodzaj

strachu - strachu religijnego. Wiele osób zniewolonych takim strachem tkwi w tym systemie szukając na siłę pozytywnych motywacji. Myślę, że było sporo takich osób, dla których stanowiło to wystarczający powód skłaniający ich do pozostania w seminarium.

Nie chcę się rozpisywać na ten temat ani uwypuklać pewnych drastycznych szczegółów towarzyszących naszemu codziennemu życiu. Przychodzą mi na myśl jednak moi koledzy. Było ich wielu. Biorąc pod uwagę stopień ich zaangażowania, możnaby podzielić całą społeczność alumnów na kilka grup.

Była grupa, która cechowała się nadzwyczajną pobożnością. Spotykało się ich często w kościele, przed ołtarzem, albo gdzieś wędrujących pomiędzy murami z różańcem w ręku. Wieczorami długo przesiadywali w kaplicy modląc się w ciszy. Była to grupa w sumie najbardziej poszkodowana. Przełożeni patrzyli na nich jak na fanatyków i czasami proponowali opuszczenie seminarium. Oni sami z kolei przeżywali rozdarcie duchowe myśląc, że trafili do miejsca, gdzie ich głównym zadaniem będzie modlitwa i rozwój życia duchowego, a okazało się, że jest niestety inaczej.

Inną grupę stanowili intelektualiści. Ci najchętniej przebywali w czytelni lub bibliotece. Walczyli o dobre stopnie z egzaminów. Byli zazwyczaj zdyscyplinowani. Cieszyli się sympatią wykładowców i wychowawców. Oni to mogli liczyć na preferencje w przyszłej pracy kapłańskiej. Seminarium, w którym studiowałem, kładło szczególny nacisk na walor intelektualny. Ta grupa zatem czuła się tutaj doskonale.

Była także grupa osób bardzo zdyscyplinowanych, poddanych, poprawnie wypełniających wszystkie obowiązki. Ci chłopcy bardzo dużą wagę przywiązywali do posłuszeństwa. Posłuszeństwo jest to takie magiczne słowo, którym załatwia się wiele trudnych spraw w Kościele katolickim. Dlatego teraz nie dziwi mnie to wcale, że tak dużą wagę przywiązywano do wpajania tej właśnie postawy. Grupa "posłusznych" była dość wygodna w kształtowaniu. Z niej to właśnie najczęściej rekrutują się wszyscy proboszczowie cieszący się względami zwierzchników.

Trzeba także tu wspomnieć o awangardzie alumnackiej. Stanowili ją zazwyczaj chłopcy, którzy już trochę zakosztowali życia albo cechowali się usposobieniem artystycznym. Wyróżniali nietypowym zachowaniem czy strojem. Ci mieli zazwyczaj najwięcej problemów, żeby się ostać. Często też odchodzili nie wytrzymawszy presji środowiska zarówno z góry, jak i z dołu.

O jednych jeszcze chciałbym wspomnieć. Nazywam ich "kameleonami", ponieważ potrafili się przystosować do każdych warunków. Czasami byli to ludzie bardzo wrażliwi, którzy nie mogąc sobie poradzić z tym strasznym rozdźwiękiem, jaki nastąpił pomiędzy ich oczekiwaniami i wyobrażeniami na temat seminarium, a tym co tutaj zastali, uciekali w mechanizm przystosowania. Niektórzy z nich to po prostu cwaniacy, którzy widzieli tylko dobrą szansę na urządzenie sobie życia.

Zastanawiam się teraz po co właściwie tak szeroko rozpisałem się na temat moich kolegów. Może dlatego, że wspólnie doznaliśmy pewnej biedy, biedy duchowej. Gdy sięgam pamięcią wstecz, to wydaje mi się, że prawie wszyscy przyszli tam, gdyż pchała ich nieodparta chęć spotkania z Bogiem. A może nawet więcej - chęć spotkania żywego Boga. Kiedy tak oceniam mój własny stan duchowy w okresie tych sześciu lat za murami, to muszę powiedzieć, że temperatura miłości do Boga-Ojca malała. Dzisiaj widzę jak groźne to było zjawisko. Trwoga

mnie ogarnia, gdy pomyślę sobie, że ktoś z premedytacją obniżał słupek temperatury. Uważam też, że zwierzchnikom Kościoła katolickiego nie zależy na pałających miłością do Ojca w niebie duszpasterzach, ale na dobrze wykształconych, wyrafinowanych w działaniu i ściśle podporządkowanych hierarchii urzędnikach, obleczonych w szaty kapłańskie. Mogłem się nieraz o tym przekonać w czasie mojej późniejszej pracy w charakterze księdza katolickiego.

I jeszcze o jednym myślę. Wielu z nich zostało bardzo mocno zranionych. Wielu odeszło zniechęconych, mimo że wcześniej szukali żywego Boga. Byli tacy, którzy znerwicowani ukończyli studia, ale tak wiele ich to kosztowało, że później byli zdolni tylko do tego, aby głęboko odetchnąć i zająć się swoimi sprawami.

Mój czas seminaryjny można by wykreślić następująco: najpierw rzuciłem się w wir nauki, modlitwy i codziennej gorliwości polegającej na skrupulatnym wypełnianiu wszystkich obowiązków. Sądziłem, zachęcany przez przełożonych, że jest to dobry sposób, aby przetrwać ten czas właściwie. Z biegiem lat zauważyłem, że popadam w coraz to większy stres, gdyż moje zaangażowanie nie powodowało zbliżania się do Boga, ale wręcz coś odwrotnego. Często późnymi wieczorami walczyłem z myślami - czy to jest możliwe, aby Bóg tak prowadził swoje dziecko? Nie mogłem od nikogo uzyskać odpowiedzi. Moi ojcowie duchowni podkreślali wprowadzić do znudzenia wartość praktyk religijnych, cierpień, walki wewnętrznej, ale tak do końca nie mogłem się do tego przekonać. Nie widziałem po prostu owoców. Najdziwniejsze było to, że większość moich kolegów reagowała na to podobnie. Cała ta dziwna społeczność funkcjonowała w jednym zakłamaniu. Gorliwców, którzy się temu sprzeciwiali skrupulatnie temperowano albo się ich pozbywano, całą zaś resztę utwierdzano w słuszności wybranej drogi.

Przełomowy moment

Tak trwałem przez pierwsze trzy lata. Przekonywałem sam siebie, że tacy mądrzy ludzie wiedzą o co tu chodzi. Poddąłem się im całkowicie. Dzisiaj rozumiem, że o to chodziło. W koszarowym systemie wychowawczym główną sprawą jest złamanie człowieka. Kiedy się tego dokona można go kształtować według dowolnego modelu wpajając mu, że posłuszeństwo jest naczelną cnotą zbawczą. Z przerażeniem przyznaję się do tego, że ta sama zasada rządzi życiem całego Kościoła rzymskokatolickiego. Jako ksiądz w taki sam sposób sprawowałem swoje funkcje, gdyż taki był model pracy duszpasterskiej. Na czwartym roku coraz mocniej zacząłem się angażować w pracę Ruchu Światło-Życie. Nie będę się tutaj rozpisywał na temat tego, jak do tego doszło. Chcę jedynie zaznaczyć te momenty na mojej drodze życiowej, które okazały się przełomowe w moim poszukiwaniu Boga.

Przyłączenie się do Ruchu okazało się dla mnie wyjściem. Nagle zobaczyłem, że można żyć w Kościele inaczej. Są ludzie, którzy szukają prawdy, kochają Boga, chcą być z Nim w bliskiej społeczności. To mnie natychmiast pociągnęło. Poczułem, że o to właśnie chodzi. Zaangażowałem się w ten Ruch bardzo mocno. Do ostatnich dni spędzonych w ramach tego Kościoła utożsamiałem się z wartościami biblijnymi tego Ruchu. Niestety z żalem dzisiaj stwierdzam, że ta iskierka życia duchowego w Kościele rzymskokatolickim została opanowana. Zamiast, jak wtedy myśleliśmy wzniecić wielki ogień, dziś świeci jak znicz nagrobny. Triumfują tylko ci, dla których wielkim świętem jest Dzień Zaduszny. Razem z wieloma kolegami upatrywaliśmy w tym ruchu wielką szansę dla Kościoła rzymskokatolickiego. Sądziliśmy, że według obietnic Kościoła zawartych w dokumentach soborowych, a nawet w prawie kanonicznym, będziemy mogli tworzyć nową żywą

rzeczywistość ludzi wierzących. Tak jak mówił ks. Blachnicki: nową wspólnotę, nową kulturę. Skończyło się niestety na tym, że nasze wysiłki zostały spisane na papierze i zamknięte w sejfach Kurii Diecezjalnej. Dzisiaj pewnie wyrzucone, aby nikomu nie przypominały nieposłusznych "zdrajców" prawdziwej katolickiej wiary. Moje najcenniejsze wspomnienia z okresu seminaryjnego wiążą się z ludźmi, a także z treścią tego co niosł ze sobą Ruch Światło-Życie. Od momentu kiedy zachłysnąłem się świeżością jego idei, aż do tej pory piję z tego źródła. Wiem, że jest to źródło, o którym mówi prorok, gdzie można pić do woli i bez pieniędzy. Jest to źródło łaski Bożej.

Ostatnie dwa lata moich studiów to właściwie czas, kiedy myślało się już tylko o tym, jak to będzie kiedy otrzyma się święcenia. Chcę powiedzieć, że cały program kształcenia pomyślany jest w ten sposób, aby ten ostatni owoc - święcenia, był postrzegany jako najdorodniejszy ze wszystkich, jakie można osiąść. Dopiero teraz to rozumiem. Wtedy szczerze oczekiwałem końca. Tak byłem wymęczony studiami i całą tą atmosferą, że o niczym nie myślałem jak tylko o tym, żeby wreszcie mnie już wyświęcili. Swoje święcenia kapłańskie przeżyłem bardzo głęboko. Wydawało mi się, że osiągnięcie tego celu zmieni radykalnie moje życie. Nie rozumiem tego do końca, ale głębia przeżyć, które wtedy mi towarzyszyły jest nieporównywalna. Tylko jeden jedyny raz reagowałem w podobny sposób. Było to w chwili kiedy Bóg autentycznie dotknął mojej duszy. Napiszę o tym nieco później.

Nie chcę pisać tu o tej całej sprawie jaka towarzyszyła ceremonii święceń ani też o tym co działo się podczas uroczystości prymicyjnych (pierwsza msza święta odprawiona przez młodego księdza) w mojej wiosce. Nigdy nie odpowiadały mi uroczyste formy. Wolę skromne celebrowanie w gronie przyjaciół. To co działo się z okazji mojego wyświęcenia, a także z okazji święceń innych moich kolegów, dorównuje biesiadom opisywanym w literaturze. Całe wioski jednoczyły się w wysiłku uświetnienia tej uroczystości. Patrząc na ten obraz można sądzić, że integracja społeczności katolickich jest wzorcowa. Jako młody ksiądz doświadczyłem nagle czegoś ze sposobu, w jaki żył pierwotny Kościół. Ludzie dzielili się tym co mieli, poświęcali swój czas, pieniądze. Panowała wielka radość. Niestety szybko się przekonałem, że to wszystko to wielki miraż. Ludzie jednoczyli się nie wokół Jezusa, oni po prostu lubią ceremonie, biesiady i uroczystości. Zastanawiam się dzisiaj jak łatwo jest nawet najświętsze czynności wykorzystać do rozbudzenia i zaspokojenia ludzkich pożądliwości.

Na marginesie tego wydarzenia chciałbym podzielić się pewną refleksją. Zobaczyłem to bardzo wyraźnie na własnym przykładzie. Dzisiaj Bóg pokazuje mi to ponownie na przykładzie innych. Chodzi o to, że każda religijna społeczność potrzebuje przywódców. Najlepiej jest jeżeli przywódca staje pomiędzy Bogiem (bóstwem) a ludem. Ten mechanizm ubóstwienia spełnia pragnienia religijne ludzi. Kapłan Kościoła katolickiego jest takim ubóstwionym przywódcą. Nadaje mu się odpowiedni autorytet, który poprzez szaty, tajemniczość życia oraz posługę jest manifestowany wobec wiernych. Jest to doskonała imitacja autorytetu. Niestety ten mechanizm zauważam także w społecznościach żywego Kościoła. Jest to dla mnie zrozumiałe, że Szatan chce opanować przywództwo. Nie rozumiem jednak tego, dlaczego tak łatwo przywódcy na to się godzą. Drodzy bracia, wasza troska o Kościół nigdy nie przyniesie spodziewanego owocu, jeżeli opierać się będziecie na sztucznie uformowanym autorytecie. Jedynym Bożym sposobem jest namaszczenie. Osoba namaszczona przez Ducha Świętego nie wynosi się sama. Ze względu na jej służbę społeczność powierza jej pieczę nad owczarnią. Osoby tylko mianowane na stanowiska nie wytrzymują tego ogromnego duchowego obciążenia. Zwykle prowadzi to do braku wizji w kierowaniu kościołem lokalnym. Wiąże się to z kolei z duchową śmiercią takiego przywódcy. Wtedy jest on zdolny tylko do tego, aby kierować i rządzić, a nie prowadzić w Duchu

Świętym. To widziałem będąc "przywódcą" w Kościele katolickim. Tak Szatan niszczy Kościół. W ten sposób zabija i wytraca, pustoszy zbory ręką ich przywódców. Może są to mocne słowa. Nie piszę jednak tego w żadnym złym zamiarze. Chcę tylko podzielić się własnym doświadczeniem i spostrzeżeniami w tej materii. Mam przekonanie, że Bóg chce mieć przywódców szczerych, prostych, skłonnych do pokuty, napełnionych Duchem Bożym.

Życie kapłańskie

W życie kapłańskie wszedłem z pełną gorliwością. Przydzielono mnie do dużego miasta. Miałem pełnić obowiązki wikariusza (pomocnika proboszcza) w akademickiej parafii. W zależności od sytuacji napawało mnie to lękiem, to dumą. Wiele lęku wiązało się z tym, co usłyszałem na temat stosunków międzyludzkich jakie tam panowały. Środowisko klerykalne jest środowiskiem zamkniętym. Wiele informacji przekazywanych jest pocztą pantoflową i oczywiście po drodze ulega różnym deformacjom w zależności od potrzeb słuchaczy. To co usłyszałem na temat tej parafii nie napawało mnie optymizmem. Mogłem się zresztą szybko o tym przekonać. Już pierwsze tygodnie pobytu w parafii zapowiadały czas nowej nerwówki. Proboszcz - człowiek w bardzo podeszłym wieku, który od dawna nie powinien już pracować, ale ze względu na pewne wewnętrzne układy jeszcze to robił, usiłował narzucać nam swoją koncepcję. Ilekroć pojawiał się nowy wikariusz, a zdarzało się to dość często, usiłował przekonać go do swoich racji. Najczęściej się to nie udawało. Zresztą chyba o to chodziło. Każda taka sytuacja była dla niego potwierdzeniem jego opinii o młodych kapłanach i stawała się, jak się okazało, pożywką dla przyszłych kłótni i nieporozumień. Dla młodego kapłana było to przykre zaskoczenie. Na początku nie mogłem się z tym pogodzić. Później nauczyłem się w sytuacjach konfliktowych nie reagować. Żyłem po prostu swoim życiem. Jednak w takich warunkach samotność, ambicje, egoizm i inne negatywne cechy charakteru doskwierają niezwykle mocno. Teraz rozumiem to, co nieraz słyszałem z ust parafian: "Ten ksiądz jest jakiś dziwny. Zamknięty, jakby obawiał się ludzi".

My naprawdę czasami baliśmy się ludzi. Baliśmy się siebie nawzajem. A nawet baliśmy się siebie samych. Obawialiśmy się, że nagle odkryjemy nasze słabości, nasze tęsknoty i uciski. Baliśmy się tego, że będziemy musieli powiedzieć: Dosyć tego. Co ja tu robię? Nasi rówieśnicy mają rodziny, pracę, domy, kochające żony i dzieci. I mimo tego, iż życie jest ciężkie, żyją dla konkretnych wartości. My żyliśmy dla ideologii. Wierzyliśmy, że czystość, celibat, posłuszeństwo, kapłaństwo to najlepsze pocieszenie i największe wartości w życiu. Kiedy odkryłem, że to kłamstwo, Bóg nagle oświecił moje oczy. On nie jest Bogiem ideologii, hierarchii i denominacji. On po prostu nas kocha. Chce z nami przebywać. Zrozumiałem, że ktoś chce mi to odebrać. Komuś zależy na tym, abym pracował do granic wytrzymałości. A kiedy już dojdę do momentu, z którego nie ma odwrotu, wtedy muszę się pogodzić z tym, że "kościół" (w sensie hierarchii, systemu) jest moją żoną, matką i wszystkim. Niejednemu być może przyjdą tu do głowy różne myśli o zabarwieniu totalitarnym. Niech się nie obawia. Sądzę, że są na miejscu.

Kiedy tak nad tym wszystkim rozmyślam, to wiem, że nie chcę opisywać tutaj różnych aspektów życia księży. Chociaż, być może, dla wielu byłoby to fascynujące. Życie kapłańskie stało się dla mnie po jakimś czasie ogromnym ciężarem. W mentalności starszego pokolenia księży funkcjonował model określany mianem "3 x K" - kancelaria, katecheza, konfesjonał. Ten model pracy kapłańskiej nadal obowiązuje, mimo wielu zmian jakie zaszły w Kościele rzymskokatolickim po II Soborze Watykańskim. Po pewnym czasie takiego funkcjonowania człowiek zaczyna działać jak automat. Nieraz miałem wrażenie, że jestem robotem

zaprogramowanym w systemie "3 x K". Takie działanie spowodowało szybkie wyjałowienie z wszelkich duchowych wartości, które, jak się okazało, tak naprawdę wcale nie były potrzebne. Chodziło bowiem o efektywne wykonanie zadania. Pamiętam te ogromne tłumy dzieci, które bardzo kochałem, ale było ich tak wiele, że nie sposób było tego wszystkiego ogarnąć. Rodziło to wiele stresów i frustracji. Niemal każdego dnia przychodziłem wykończony i padałem zmęczony w ubraniu na łóżko. Dopiero budzik nastawiony zawsze na tę samą godzinę 5.30 budził mnie ponownie do życia. Czułem się jak niewolnik. Niestety po jakimś czasie zacząłem funkcjonować według mentalności niewolnika. Jej cechy to: poprawne odnoszenie się do zwierzchników, wykonywanie codziennych zadań, punktualne przychodzenie na posiłki, nie opuszczanie siedziby po 22.00 oraz wiele innych.

Był taki czas, że zacząłem się zastanawiać nad sensem tego wszystkiego. Intuicyjnie czułem, że to o czym mówi Biblia jest zupełnie gdzie indziej, niestety nie było tego tam (jak wmawiało się ludziom), gdzie być miało. Przyszła chwila w moim życiu kiedy wyraźnie nastąpił we mnie podział. Z jednej strony było to, co stanowiło moje codzienne obowiązki, ponieważ swoją pracę traktowałem poważnie. Z drugiej jednak strony pojawiło się zupełnie nowe życie. Dzisiaj widzę, że była to niezwykle łaska Boża. Razem z gronem zapaleńców rozpoczęliśmy tworzenie Kościoła w oparciu o to, czego naucza Biblia, a czego doświadczyliśmy służąc w ruchu charyzmatycznym. Ten moment w moim życiu był jak Boży miecz. Podzielił moją duszę na to, co Boże i na to, co pochodzi tylko od ludzi w Kościele rzymskokatolickim. Razem z tym pojawił się w moim sercu pewien niepokój. Kiedy z biegiem czasu odkrywałem autentyczną treść Słowa Bożego ten niepokój się pogłębiał, a czasami rodził lęk, że robię coś, co nie podoba się Bogu. Myślę, że wielu księży przeżywa coś podobnego. W chwili kiedy usiłują sobie z tym poradzić, pojawia się myśl: "Przecież Kościół nie może się mylić, tyle wieków przetrwała jego nauka, to chyba ze mną jest coś nie w porządku". W takich chwilach zwycięża indoktrynacja katolicka - Kościół nie może się mylić, biskupi, papież, autorytet itp. Te wszystkie rzeczy, jak wielka fala jakiejś dziwnej duchowej obecności, zalewają każdą próbę zagłębiania się w treść Słowa Bożego, wyjścia poza wyznaczone przez Kościół liturgiczne ścieżki.

Warto zastanowić się tutaj przez chwilę nad znaczeniem duchowym, psychologicznym i praktycznym liturgii. Liturgia stanowi doskonałą metodę indoktrynacji. Ona wyznacza to, co powinno się zdarzyć danego dnia w życiu konkretnej osoby, jak i całej społeczności Kościoła. W ten sposób funkcjonuje jako narzędzie swoistej kontroli. Jest to niestety kontrola natury duchowej, której źródła okryte są często głęboką tajemnicą. Dla przykładu można chociażby wymienić: medytację, którą karmi się adeptów klasztorów i seminariów duchownych, kult świętych i zmarłych otwierający ludzi na okultyzm, cała oprawa mszy z bogatym kunsztem adoracyjnym w monstrancji - symbolu boga słońca i dziesiątki, a może nawet setki innych przeróżnych i przedziwnych przejawów.

Z punktu widzenia psychologicznego zauważyć można mechanizm uzależniania ludzi od proponowanych praktyk i form, co w powiązaniu z wymaganym szacunkiem należnym Bogu prowadzi do nadmiernego pobudzania stanów lękowych, czasami nerwicowych, a w skrajnych przypadkach prowadzi nawet do patologii. Wszelkie te zjawiska mogłem zaobserwować w trakcie sprawowania posług duszpasterskich w Kościele katolickim. Chciałbym to słowo potraktować także jako przestrożę dla tych wszystkich, którzy chcieliby w społecznościach żywego Kościoła wprowadzać nadmierną kontrolę duchową w jakiegokolwiek formie. Najbardziej niewinną i delikatną formą wydają się być wszelkiego typu przejawy liturgizmu, tj. nadmiernego przywiązywania wagi do form, metod, sposobów i praktyk religijnych. Musimy posługiwać się formami. Są one w wielu przypadkach

niezbędne. Niemniej to nie one stanowią o istocie Kościoła, są tylko elementem wspomagającym realizacją Bożego porządku.

Moje nawrócenie

Moje głębokie zaangażowanie w ruchy odnowy Kościoła katolickiego, szczególnie zaś w ruch charyzmatyczny spowodowały, że nie mogłem dalej funkcjonować w modelu "3 x K". Zauważyłem, że istota Kościoła leży gdzie indziej. Borykając się z tymi myślami, pewnego dnia, a było to w okresie nawału pracy duszpasterskiej przed świętami wielkanocnymi, przeżyłem jedną z najwspanialszych chwil w swoim duchowym życiu. Chciałbym się tutaj zatrzymać, gdyż była to chwila, która zaważyła na całym moim życiu, o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Było to w Wielki Wtorek. Przyjechał do miasta, w którym pracowałem pewien ksiądz. Słyszałem o nim wiele dobrych rzeczy. Był symbolem odnowy charyzmatycznej w Kościele katolickim. Kilka osób, które знаły go osobiście zorganizowały w prywatnym domu spotkanie, na które zostałem zaproszony. Kiedy opuszczałem konfesjonał owego dnia przed południem czułem się jak przestępca. Moi koledzy będą harować, a ja idę na spotkanie. Ta myśl towarzyszyła mi w czasie drogi do mieszkania moich znajomych. Wkrótce, kiedy siedziałem już w wygodnym fotelu i słuchałem tego człowieka, zapomniałem o wszystkim. Byłem całkowicie przekonany, że mam tutaj być i czekać na to, co ma się wydarzyć. Bóg faktycznie przygotował dla mnie wielkie rzeczy. Kiedy po chwili rozmowy i krótkim głoszeniu ewangelii o nowym narodzeniu padło pytanie, czy chcę przyjąć Jezusa do swojego serca i oddać Mu swoje życie, poczułem się lekko nieswojo. Pomyślałem - jak to "przyjąć Jezusa", a co ja robiłem do tej pory, jeśli nie służyłem Jezusowi? Nie mogłem zrozumieć tego, że nawet ksiądz, tyle się poświęcając, studiując i gorliwie pracując, może zupełnie mijać się z celem. Można służyć jakieś ideologii - usłyszałem - a nie Jezusowi. Kiedy przetrwałem w sobie wszystkie te myśli, powiedziałem: - Módlcie się! Polecili mi tedy wyznać Bogu swoje grzechy, co stało się dla mnie następnym problemem, ale jakoś to uczyniłem. Dzisiaj widzę, jak niezwykle doznałem wtedy łaski od Boga. Zawsze byłem człowiekiem zamkniętym. Mówienie o swoich przeżyciach stanowiło dla mnie nie lada problem. Kiedy już to wszystko uczyniłem, nagle zacząłem płakać. Był to taki płacz, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Czułem jak wszystko ze mnie spływa. Miałem wrażenie, że wypływam z jakiś ciemnych głębin na powierzchnię. Nagle poczułem, że coś ściska mnie za gardło, dławi tak mocno, że język staje mi kołkiem, zachowuje się dziwnie. Przez moment usiłowałem opanować to zjawisko. Bałem się, że już i tak jestem niezłym przypadkiem. Aż tu nagle nie wiedzieć dlaczego wszystko się rozwiązało. Mój język zaczął mówić, choć w ogóle tego nie chciałem. Po chwili zauważyłem, że mogę powstrzymać ten potok słów, ale nie chcę. To dziwne zjawisko, które znałem z literatury, określane mianem "mówienie innymi językami", nagle stało się moim osobistym doświadczeniem. Całość przeżyć, jakie wtedy miały miejsce zaważyły w decydujący sposób na moim życiu. Dopiero dzisiaj mogę to ocenić prawidłowo.

Powróciłem do siebie w niezwykle radosnym nastroju. Praca stała się dla mnie lekka. Modlitwę stale miałem na ustach. Czytanie Biblii traktowałem jak osobistą rozmowę z Bogiem. Nagle jakoś inaczej zacząłem postrzegać ludzi. Niestety to przeżycie pogłębiło jeszcze bardziej przepaść pomiędzy tym co Boże, a tym co ludzkie w Kościele katolickim. Niepokój stawał się coraz silniejszy. Przebywanie w ramach tego Kościoła było coraz bardziej niemożliwe.

Trochę refleksji

W oparciu o doświadczenie nowego narodzenia chciałbym zwrócić uwagę na kilka spraw. Jedną z nich jest kwestia grzechu. Wyznawanie grzechów jest warunkiem szczerego przebywania w przedśionkach Najwyższego. Ilekroć później modliłem się z ludźmi o przyjęcie Jezusa, tylekroć wyznawanie grzechów było kluczem do ich uwolnienia i przyjęcia nowego życia. Jest to zgodne z tym co czytamy w Biblii - "Prawda was wyzwoli" (J 8,32). Bardzo istotnym elementem chodzenia w prawdzie jest wyznawanie swoich grzechów. Zauważyłem, że katolicy traktowali wyznawanie grzechów rutynowo i instytucjonalnie. Natomiast gdy chodzi o protestantów, zauważam, że w ogóle nie wyznają grzechów albo robią to po cichu i rzadko. Wynika to być może ze zbyt opacznego pojmowania nauki o zbawieniu lub też innych doktryn czy zwykłych zaniedbań, ale dla mnie jedno jest pewne. Tam gdzie nie ma wyznawania grzechów, tam jest zamykanie się na prawdę, a tym samym na wyzwolenie Bożego błogosławieństwa. Wiele zborów czeka na przebudzenie. Wyznawajcie sobie nawzajem grzechy, a zobaczycie jak ono szybko się pojawi. To jest tak bardzo naturalne - ludzie potrzebują szczerości. W świecie, gdzie dominuje gwałt, bezprawie, nieczułość, pieniądze, my chrześcijanie niesiemy wyzwolenie poprzez to, że przyznajemy się do grzechów. To brzmi być może absurdalnie, nawet dla mnie samego, ale wierzę, że Bóg chce tego i nie mogę wykreślić tego zdania z mojego świadectwa.

Drugą sprawą, która wiąże się bezpośrednio z narodzeniem na nowo, to dążenie do prawdy. Bóg jest Bogiem zazdrosnym, jak określa to Biblia, dlatego też nie znosi, kiedy jego dzieci oddają się obcym kultom i praktykom. Myślę, że dlatego właśnie każdemu kto rodzi się na nowo daje poznać prawdę. Jest to ogromny przywilej, ale także jest to wielkie zadanie. Dziecko Boże używa prawdy jak miecza. Doświadczyłem tego. Niemalże nagle zaczęło się obcinanie. Wiele razy mnie to przerażało. Bronilem się wtedy mówiąc: "jeszcze nie teraz". Człowiek ma taką tendencję w sobie, aby "uśredniać", to znaczy godzić różne rzeczy. Dość często udaje nam się pogodzić nawet rzeczy absurdalne, nie pasujące do siebie, ale w naszej kompromisowej koncepcji zgodne. Widzę spore niebezpieczeństwo, gdy chodzi o stosunek dzieci Bożych do innych ludzi. Czasami chcieliby tak bardzo ludziom pomóc, tak bardzo się do nich zbliżyć, okazać im zrozumienie, że zapominają o tym, iż powinni okazać im coś zupełnie odwrotnego, bo to mogłoby stanowić dla tychże wyzwolenie.

Istnieje też pogląd który głosi, że dziecko Boże może żyć w prawdzie również w takim kościele, w którym prawda mieszana jest z fałszem. Uważam, że taka sytuacja ma miejsce w Kościele katolickim. Ludzie, którzy usiłują tak żyć, tłumacząc się na przykład tym, że chcą być bliżej katolików, często popadają w zwątpienie albo w ów kompromis. Sądzę, że takie myślenie jest także podstawą współczesnego ekumenizmu. Ludzie niezdolni do wyznawania grzechów i pozostawania w bezkompromisowej prawdzie szukają płaszczyzny porozumienia. To jest humanizm, a nie chrześcijaństwo. Idea tak pojętego ekumenizmu jest obca chrześcijaństwu, gdyż nie ma chrześcijaństwa lepszego i gorszego, bardziej i mniej prawdziwego. Jest jeden Kościół Jezusa. Nie ma wielu kościołów. Kościół jest tam, gdzie jest BOŻA PRAWDA. Wiem, że zdefiniowanie Prawdy stanowi pewną trudność, ale nie znaczy to, że w związku z tym należy szukać jakiś dodatkowych płaszczyzn porozumienia. Można zaobserwować również w tej makro perspektywie Kościoła tę samą tendencję do uśredniania, którą widzi się w życiu pojedynczego człowieka. Jest to niepokojące zjawisko, że niektórzy przywódcy żywego Kościoła tak chętnie przystają do ekumenii. Myślę, że chrześcijaństwo powinno pozytywnie reagować na otaczającą nas rzeczywistość, ale wyrażać się to musi także w mówieniu "nie", i to nawet wtedy, kiedy na szwank są wystawione "interesy" denominacyjne jakiegokolwiek grupy ludzi.

Tego dowiedziałem się z Biblii...Chciałbym teraz zwrócić uwagę na kilka kwestii doktrynalnych, które odgrywają decydującą rolę w Kościele katolickim, a tak niewiele mają wspólnego ze Słowem Bożym. Kiedy poznałem Jezusa osobiście, zobaczyłem to bardzo wyraźnie.

Czym jest Kościół?

Istota Kościoła chyba najwcześniej zaczęła budzić moje wątpliwości. Dlatego myślę, że jest to sprawa jakby najbliższa naszemu sercu, gdyż dotyczy relacji osobowych i wzajemnych odniesień. Wiele osób, które zmieniły swoją przynależność kościelną, zrobiły to z tego właśnie powodu. Człowiek szuka miłości. Ewangelia niemalże na każdej stronie opowiada o miłości. Kiedy człowiek nie znajduje tego w rodzinie, wśród "wierzących", rozpoczyna poszukiwania. Tą drogą Bóg pozwala się znaleźć tym, którzy tego pragną. Dla tych, którzy prawdziwie szukają Boga istotą Kościoła nie jest hierarchia, doktryna, budynek, sakramenty, urzędy i funkcje jakie on spełnia. Jest nią natomiast miłość braci i siostr do siebie nawzajem. Ta właśnie rzeczywistość chyba najwcześniej została odsłonięta moim oczom. Bóg pozwalał mi patrzeć i odkrywać Kościół zupełnie od innej strony. Najbardziej drażniło mnie to, że księża z którymi o tym rozmawiałem, zupełnie tego nie rozumieli. Często pukali się w czoło i pytali: "O co właściwie ci chodzi?" Dzisiaj wiem, że nie mogli i dalej nie mogą tego zobaczyć, zamyka im oczy skorupa doktryny. Tylko sam Bóg może ją zniszczyć.

Przyszedł czas kiedy nie mogłem już znieść tych wszystkich pustych ceremoniałów, którymi mamiono ludzi. Bóg dał mi odczuć wstręt do kłamstwa. Niestety jeszcze przez długi czas miałem tam tkwić i ciągle manewrować pomiędzy tym, z czym się nie zgadzałem, a co musiałem robić z racji mego zawodu. Próbowałem uciekać od tego. Tworzyliśmy nową wspólnotę żywego Kościoła. Pełną pozytywnych więzi i autentycznej miłości. Było to miejsce mojego azylu. Niestety powroty okazywały się tym boleśniejsze. Wiem, że kiedy Bóg wezwie człowieka, to napawa go wstrętem do wszelkiego szatańskiego oszustwa.

Dzięki Bogu widzę dzisiaj jedno. Ludzie wypracowali wspaniałą teologię Kościoła. Doszukują się ciągle nowych aspektów jego bogatej rzeczywistości. Opisują jak Bóg działa poprzez swoje sługi. Organizują niezliczoną ilość konferencji i spotkań. Czasami jednak mam wrażenie, że jesteśmy podobni do tych ludzi za czasów Noego, którzy budowali wieżę. Tak bardzo zachwycali się swoim dziełem, że zapomnieli o najważniejszym, o miłości do Stwórcy. Bóg nie uhonorował ich dzieła. Pomieszał języki. Od tego czasu nie mogli się porozumieć. Budowa ustała. Bo tam gdzie nie ma porozumienia, tam nie ma społeczności. Tam, gdzie nie ma społeczności, tam nie ma miłości. Niestety ten trend widać także wśród wierzących. Mówimy: "bracia i siostry", ale często przypomina mi to rodzeństwo, które żyje w tym samym mieście, spotyka się od czasu do czasu na ulicy, być może załatwia wspólne interesy, odwiedza swoich rodziców i przy okazji porozmawia, ale tak naprawdę są sobie obcy. Łączy ich czasami wspólna impreza. Wzruszają się na pogrzebie matki czy ojca, ale potem znowu wracają do swojej codzienności. Istnieje coś takiego, jak chrześcijańska obojętność. Polega ona na tym, co można wyrazić słowami: "Niech Bóg będzie z tobą, bo ja mam swoje sprawy". Wolimy oddać dziesięcinę i mieć święty spokój, niż dzielić się tym co mamy i ponosić ciężar życia społecznego. Nie chcemy wtrącać się w niczyje sprawy, ale nie dlatego, że jesteśmy delikatni, bo przy wielu okazjach z łatwością to robimy, lecz z tego względu, żeby nie brać odpowiedzialności braterskiej, bo może się ona okazać niewygodna i absorbująca.

Wiele można by na ten temat powiedzieć. Nie chcę pisać tutaj jedynie o doktrynie. Pragnę

ukazać jak Kościół żyje. A przecież Jezus uczył nas nie nowej doktryny, ale nowego sposobu życia: "Popatrzcie jak oni się miłują".

Osoba Jezusa Chrystusa a praktyka kościelna.

Kościół katolicki niezwykle sprytnie realizuje swoje założenia. Spryt ów polega na tym, że pisze się i głosi co innego, a realizuje się co innego. Jeśli chodzi o osobę Jezusa i jego dzieło, z biblijnego punktu widzenia wszystko jest w porządku. To wszystko jednak podporządkowane jest naczelnej doktrynie Kościoła, która wprowadza w życie tylko to, co uznaje za potrzebne dla maluczkich. Tak na przykład uznaje się zbawcze dzieło Jezusa, ale obwarowuje się je nauką o uczynkowości, żeby podkreślić wartość i potrzebę funkcjonowania kapłaństwa hierarchicznego, które poprzez swoje nadzwyczajne uprawnienia dokonuje szafarstwa łaski Bożej.

Najbardziej niebezpieczną praktyką dotyczącą osoby Jezusa jest niedowartościowanie jego zbawczego dzieła. W gruncie rzeczy zbawienie nie zależy od Jezusa, lecz od właściwego wypełniania nakazów kościelnych, a w niektórych przypadkach od decyzji kapłana, jak na przykład w chwili śmierci (Kapłan decyduje czy udzielić jeszcze sakramentu chorych, który gładzi także grzechy, a tym samym otwiera drogę do nieba czy przynajmniej do czyśćca, czy też zaniechać tego). Żal mi ludzi, którzy oddają się w ręce szafarzy takich praktyk.

Inną niebezpieczną praktyką jest urzeczywistnianie Jezusa w krażku chleba i kropelkach wina. Myślę, że dzieje się to z dwóch powodów: (1) nie docenia się wiary maluczkich, zakłada się z góry ich obojętność wobec Zbawiciela, (2) podkreśla się w ten sposób rolę kapłaństwa hierarchicznego, jego władzy i mocy.

Zastanawiając się nad tym wszystkim można dojść do przekonania, że świętość Kościoła katolickiego i jego władza, oczywiście ucieleśniana poprzez kapłaństwo hierarchiczne, jest podkreślana daleko bardziej niż osoba Jezusa Chrystusa. Często odnosiłem wrażenie, że Jezus potrzebny jest w tym Kościele tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc, jako niezbędny rekwizyt liturgiczny. Resztę załatwiają kapłani korzystając z uzurpatorskiej wiecznej władzy.

Czy ofiara była doskonała?

Bezpośrednio z osobą Jezusa, o czym już wspomniałem, wiąże się problem doskonałej lub niedoskonałej ofiary Jezusa. Tutaj znowu objawia się owa przewrotność. Głosi się, że ofiara była doskonała, a w czasie mszy świętej dokonuje się powtórnego aktu ofiarniczego, aczkolwiek bezkrwawego, lecz podkreślanego z niezwykłą pieczołowitością. Wiele wyjaśnia samo nazewnictwo. Mszę się ofiaruje, sprawuje się ofiarę itp. Nie chcę tutaj analizować teologicznie tego wydarzenia, pragnę tylko zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo, jakie się kryje za takim rozumieniem eucharystii. Praktyczność teologów katolickich i ich przebiegłość jest perfekcyjna. Widać to wyraźnie w nazewnictwie mszy świętej. Dzisiaj nazywa się to eucharystią - dziękczynieniem, a nie mszą - ofiarą. Rzeczywistość niestety pozostaje ta sama - chodzi ciągle o powtórny bezkrwawą ofiarę Jezusa. Nigdzie w Biblii nie znajdziemy potwierdzenia takiego rozumienia Wieczery Pańskiej.

Kult świętych

Czasami zastanawiałem się nad tym i wydawało mi się to dziwne, że właściwie każdy dzień zadedykowany jest jakiemuś świętemu. Określane jest to patronatem świętych. Podobnie jest

zresztą przy wyborze imienia w czasie chrztu dzieci. Także cały kalendarz liturgiczny zorientowany jest pod kątem świętych, którym kolejno oddaje się hołd. Bywają dni kiedy osoba świętego stanowi absolutne centrum liturgiczne. Modlitwy zanoszone są za jej wstawiennictwem. Wszelkie czynności życia społecznego i kościelnego poddawane są pod patronat danego świętego. Bez wiedzy i zgody ludzi poddaje się ich życie pod patronat świętych. Najdziwniejsze jest to, że niektóre postaci z kalendarza świętych są niewiadomego pochodzenia, są takie, których w ogóle historycznie nie było, już najgorsze jest to, że dotyczy się wtedy sfery duchowej, wprowadzając ludzi w nieudokumentowane biblijnie praktyki. Nieraz kojarzyło mi się to wszystko z pogańskim kultem herosów ubóstwianych przez ludzi. Dla wierzącego cała ta sprawa rodzi poważne wątpliwości natury duchowej: Czyjemu patronatowi jesteśmy poddawani? Biblijnie wierzący chrześcijanin nie może pozostać obojętny wobec powyższego proceduru.

Absolutną koroną kultu świętych jest oczywiście kult Maryi. Ilekroć o tym myślałem, tylekroć przychodziła mi refleksja: "Jak właściwie ta prawdziwa Maria, matka Jezusa, która bez wątpienia jest razem z Kościołem tryumfującym w wieczności ocenia tę całą maskaradę niby to na jej cześć"? Kulminacyjnym punktem mojego odrzucenia kultu maryjnego były misje parafialne w jednym z kościołów, w którym pracowałem. Dwaj specjaliści od nauk maryjnych, zaproszeni do prowadzenia misji, dali popis takiego dyletanctwa biblijnego, że nie mogłem tego znieść. Gdy na zakończenie swoich teatralnych praktyk kazali nam księżom nieść ciężki obraz maryjny po to, aby zawiesić go w kościele, wiedziałem że koniec jest bliski. Czułem się pod tym obrazem jak zdrajca ewangelii. Ciężar tego drzewska uprzytomnił mi, co Biblia mówi na temat czci obrazów. Wszelkie to razem wzięte spowodowało, że powiedziałem mojemu proboszczowi, że nie chcę już odprawiać żadnych nabożeństw maryjnych i głosić kazań w święta maryjne. Ku memu zdziwieniu potraktował to poważnie. Jedyną konsekwencją mojej desperacji był przydomek "heretyk", z którego zresztą bardzo się cieszyłem. Kult maryjny przesłania całą praktykę pobożności katolickiej.

Większość uroczystości kościelnych, nawet Boże Narodzenie i Wielkanoc obchodzone są z podkreśleniem roli Marii w historii zbawienia. Najwięcej nabożeństw w ciągu roku jej właśnie jest poświęconych. Różańce, dewocjonalia, peregrynacje obrazów i wiele innych przejawów życia kościelnego przypomina mi czasami obraz z Apokalipsy, który opisuje scenę, jak to wielu ludzi powiedzie oczami za wizerunkiem "bestii".

Niestety także i teologia przesiąknięta jest maryjnością. Na cztery dogmaty maryjne: Bogurodzica, Dziewica, Niepokalanie Poczęta, Wniebowzięta, tylko pierwszy jest uzasadniony biblijnie. Pozostałe trzy są niebiblijne. Wszelkie tytuły jakie się jej przypisuje, jak np.: Współodkupicielka, Orędowniczka, Pośredniczka i inne, wystarczy chociażby wziąć litanie do Matki Bożej zawartą w książeczkach do nabożeństw, są tytułami uzurpowanymi, gdyż przynależą samemu Bogu. Nawet tłumaczenia tekstów biblijnych, nie wspominając już komentarzy, dostosowywane są do potrzeb doktryny maryjnej.

Nie jest moim celem rozpisywania się na temat błędnej teologii. Chciałem tylko bardzo pobieżnie zwrócić uwagę na fakt, że niezwykle istotną sprawą jest kroczenie w prawdzie, którą objawia sam Bóg. Ten, który narodził się na nowo z wody i Ducha Świętego otrzymuje poznanie prawdy. Dla mnie jest to jedno z kryteriów życia w bliskiej relacji z Bogiem. Jest to także zadanie wierzącego - objawiać światu prawdę. Tego trzeba nam się uczyć. Szatan na każdym kroku czuwa, aby związać nas kłamstwem. Grozi to głównie wierzącym, myślę, że z wiadomych dla nas wszystkich powodów.

Po nawróceniu jeszcze przez kilka lat funkcjonowałem w Kościele katolickim. Moje życie koncentrowało się głównie na budowaniu żywego Kościoła. Przez jakiś czas żyliśmy w złudzeniu, że być może uda się w tym Kościele osiągnąć to, o czym marzyliśmy, że pozwolą nam stworzyć taką parafię, która byłaby odzwierciedleniem pierwotnej gminy chrześcijańskiej. Niestety to wszystko okazało się snem. Rodziło tylko wiele frustracji i niepokoju. Być może człowiekowi świeckiemu łatwiej jest funkcjonować w takim rozdzieleniu. Nie musi on codziennie zmagać się z tą ogromną machiną hierarchii. Zresztą, nie obrażając nikogo, "zwykły katolik" w ogóle nie wie, co tak naprawdę dzieje się w Kościele.

Życie w wolności

Przyszedł dzień, kiedy wraz z moim współbratem i uczestnikiem tej samej niedoli poszliśmy, aby złożyć swoje deklaracje wystąpienia z Kościoła katolickiego. Odbyło się to bardzo szybko. Biskup był trochę zaskoczony tą sytuacją, bardzo długo czytał moją krótką deklarację wyjaśniającą powody opuszczenia Kościoła. Następnie, nie wiedząc co powiedzieć, zaproponował, żebym się jeszcze zastanowił. Kiedy mu odpowiedziałem, że już to zrobiłem, rozstaliśmy się bez słowa.

To, że księża odchodzą z Kościoła katolickiego jest rzeczą normalną. Robią to z różnych powodów. Sądzę, że u podłoża leży zawsze rozczarowanie kłamstwem, na które natykają się niemalże każdego dnia. Wygodną rzeczą dla hierarchów jest to, aby ci ludzie jak najszybciej odeszli w zapomnienie. Kiedy są daleko, nieznani, wtedy łatwo jest piętnować ich odejście, wykazywać jak to straszliwie sprzeniewierzyli się Bogu i na pewno teraz ponoszą za to sromotną zapłatę, nie mówiąc już o tym, co będzie po śmierci. Nasze odejście różniło się trochę, gdyż publicznie zakwestionowaliśmy doktrynę Kościoła katolickiego, ale to nie było jeszcze najstraszniejsze. Najgorsze było to, że ośmieliliśmy się zamieszkać w tym samym mieście, w którym pracowaliśmy. Ba, nawet na terenie tej samej parafii, gdzie niedawno jeszcze głosiliśmy Słowo Boże. Było to uderzenie w czuły punkt "kolosa na glinianych nogach". Od razu po naszym wyjściu rozesłano listy identyfikacyjne po wszystkich kuriach w Polsce. Po dziś dzień w pewien sposób sprawuje się nad nami kuratelę.

Trzy lata później dowiedziałem się, jakie naciski wywierano na dyrektora mojego nowego miejsca pracy, aby mnie zwolnił. Ponieważ ze względu na moją pracę często chodzę do szkół, spotykam się z jawnym lub ukrytym sprzeciwem ze strony duchownych. Widzę, jak bardzo nie na rękę jest im to, że funkcjonuję jako osoba publiczna. Mógłbym tu opisywać, w jaki absurdalny sposób usiłowano dyskredytować naszą decyzję. Nie robię tego świadomie, gdyż nie chodzi mi tu o napisanie opowiadania z dreszczykiem, ale o wyrażenie bólu i troski.

Moje obecne życie, życie człowieka wolnego od ideologii, nie poddanego żadnej religijnej manipulacji, toczy się bardzo zwyczajnym, spokojnym torem. Wiem jak żyją zwyczajni ludzie. Widzę jak głęboko tkwiłem w ciemnościach. Dostrzegam jak ideologia religijna wypacza ludzkie sumienie, a także związane z tym całe ludzkie życie. Dziękuję Bogu, że dał mi odwagę, abym zrealizował to, co mi wcześniej pokazał. Wiem też na pewno, że człowiek nie może żyć w dobrej społeczności z Bogiem tam, gdzie nie czuje się wolny, bezpieczny, akceptowany. Gdzie nie ma zaufania do tych, których nazywa braćmi i siostrami. Teraz dopiero rozumiem słowa apostoła, który mówi o wolności, do której wyswobodził nas Chrystus. Podejmowanie właściwych decyzji może się dziać tylko w atmosferze wolności. Ludzie często nie podejmują Bożych decyzji, gdyż czują się niepewni, zastraszeni, boją się utracić to, co zyskali w oczach braci i siostr, a szczególnie w oczach przełożonych. Próbuja

godzić wolę Bożą z wolą ludzką aż do tego stopnia, że wola ludzka staje się wolą Bożą. To co się dzieje w życiu społeczności religijnych podlega pewnym procesom. Niestety, można wyraźnie zauważyć już od początku istnienia Kościoła, że ta "socjalizacja" coraz wyraźniej biegnie w kierunku świata. Rozumiem już dlaczego spotykamy w Biblii tak wiele napomnień, aby każdego dnia czuwać w modlitwie i studiować Boże Słowo. Człowiek ma zakodowaną w sobie tendencję do budowania "wieży Babel". Jest to bardzo niebezpieczne dla naszego życia z Bogiem.

Chciałbym wspomnieć jeszcze o jednej sprawie. Kiedy opuściłem Kościół rzymskokatolicki, stanąłem nagle jakby na obcej ziemi. Wszystko było dla mnie nowe, ale też i trudne. Począwszy od organizowania jakiegoś miejsca do spania, poprzez kompletowanie talerzy i łyżek oraz wszelkich innych drobiazgów, a skończywszy na poszukiwaniu pracy. Wszystko trzeba było zorganizować na nowo. Czasami czułem się jak człowiek, któremu spłonął dom, a on sam zdołał uciec zabierając ze sobą to, co mógł unieść. Wtedy też doświadczyłem niezwykłej miłości od ludzi. Byłem pewien, że jest to ta miłość, o której czytamy w Biblii. Wiedziałem także, że to sam Bóg pobudza serca ludzi do takiego działania. Po dziś dzień spotykam się z tą samą miłością płynącą z serc moich braci i sióstr.

Przyszedł jednak dzień, kiedy zobaczyłem, że Bóg doświadcza także poprzez braci. Było to dla mnie bardzo przykre przeżycie, ale wiem, że musiałem przez to przejść. To właśnie chciałem napisać jako ważną przestrożę. Bóg doświadcza tych, których kocha. Jest to ważne, gdyż szczególnie w takich sytuacjach istnieje pokusa, żeby bardziej zaufać człowiekowi, który jest blisko mnie niż samemu Bogu. Często ludzie nie potrafią tego zrozumieć. To po prostu trzeba przyjąć. Bóg nie chce, abyśmy popadli w nowe zniewolenie. Może jest to trudna szkoła, ale skuteczna.

Sądzę, że nastał czas kiedy należy zakończyć. To wszystko co napisałem powierzam Bogu. Niech On sam dokonuje dalej tego dzieła, które rozpoczął pewnego dnia w życiu człowieka, któremu nagle zajaśniało niebo pełne wspaniałych Bożych obietnic.

Wasz brat Paweł
(imię, nazwisko i adres znane redakcji)